

Drukarnia

Halszka Bodalska

1948

Spis treści

I	3
II	5
III	6
IV	8
V	10
VI	13
VII	15
VIII	17

I

Róża przyniosła pęk kluczy wielkich i niedzisiejszych. Kustosz prowadził mnie potem przez jakieś schody i zakamarki. Wreszcie w jednym z pokoików, zawałonych jak wszystkie w kamienicy Baryczków uratowanymi dziełami sztuki, powiedział:

– To właśnie jest ta maszyna. Ale nie wiem, czy się wam na co przyda – dodał pośpiesznie i niby przepraszająco. – To zabytek historyczny – uśmiechnął się. – Tyle lat stał w muzeum. Piłsudski „kręcił” na niej swego „Robotnika”.

Patrzyłem z powątpiewaniem na mały żelazny blat, wsparty na krótkich karzełkowatych nóżkach, na jakieś pręty, sztabki i śruby stanowiące w tej chwili bezładną kupę szmelcu. Byłem rozczarowany. „Ładna maszyna” – myślałem z żalną ironią. Wyobrażałem już sobie miny organizacyjnych towarzyszy, którzy jeszcze parę godzin temu przyjemnie byli podnieceni, że będziemy drukowali prasę.

– Może się przyda – bąknąłem kustoszowi na pożegnanie. Przyślemy naszych specjalistów – zapowiedziałem szumnie.

– Bo widzi pan, po co ma stać bezużytecznie w muzeum... – tłumaczył się jakby zażenowany kustosz, odprowadzając mnie do drzwi.

Wbrew mojemu pesymizmowi maszyna przydała się. Nawet bardzo. W marcu 40 roku ukazał się pierwszy drukowany numer „Akcji”¹. Nie byłem jeszcze wtedy w drukarni, nie znałem zecera ani drukarzy. Wyobrażałem sobie, że są to ludzie bohaterscy i wspaniali, szczęśliwi, że powierzono im sprawę bardzo ważną i bardzo tajemniczą.

Któregoś dnia powiedziano mi, że jeden z „sympatyków” ofiarował nam części maszyny drukarskiej. Ponieważ nie będą nam potrzebne, a „pasują” do zdekompletowanej maszyny, która jest własnością innej organizacji, więc odstąpimy je. „Rzeczoznawca” tamtych miał spotkać się z naszymi drukarzami, ja miałem „zrobić kontakt”.

Był styczeń, może luty. Hulała zadymka śnieżna. Na Czerwonego Krzyża, w Lokalu Towarzystwa Krwiodawców, nie stawił się ten, który miał odebrać maszynę. Byłem zdenerwowany.

– Taka zawierucha, nasi przyjdą aż z Żoliborza...

– Ależ proszę pana – tłumaczył mi inny członek zaprzyjaźnionej organizacji – przecież to niemożliwe, żeby wasi wybrali się na taką pogodę! I wskazywał kłębiące się za oknem, drgające spazmatyczne płatki śniegowe.

Czekałem przed bramą. Może rzeczywiście ma rację – myślałem. Ale nie miał. Bo zza zakrętu, z ciemności, z białego śniegu wywlokła się „drynda”, zaprzężona w chudą, zmarznąłą szkapę.

Wiedziałem, że to oni. Wymieniliśmy hasło.

– Jesteśmy spóźnieni, ale żaden dorożkarz nie chciał jechać na Powiśle.

– A tamten wcale nie przyszedł – rzekłem ponuro.

¹ Tygodnik „Akcja” zaczął wychodzić w listopadzie 39 r. na powielaczu.

Weszliśmy do małej kawiarenki. Zaprosiliśmy dorożkarza. Ten ostatni wdał się w ożywioną rozmowę z tęgą właścicielką. Obsiedliśmy żelazny piecyk. Wódki, niestety, nie było. Tęga właścicielka grzała na maszynie gazowej herbatę i mleko. Czekaliśmy dość długo, bo płomień ciągle gasł.

Przyglądałem się drukarzom. Niski, łysawy brunet² trząsał się, jak w febrze, mimo wielkiego kożucha i bliskiego pieca.

– Czesław przechodzi grypę. Ma trzydzieści osiem z kreskami – objaśnił ten drugi³, różowy, pulchny blondyn.

Pytałem o drukarnie. Maszyna lada dzień będzie gotowa. Warunki ciężkie. Na razie brak pieniędzy na zakup papieru, na węgiel. Lokal wprawdzie jest, ale pusty, niekonspiracyjnie takie mieszkanie wygląda. Nie ma firanek. Dziwne wydaje się pewnie sąsiadom zasłanianie okien papierem; nie ma stołu, na którym można by wygodnie ustawić maszynę.

Wypowiedzieli swoje bolączki i siedzieli, rozgoryczeni na śnieżyce, na odległość Powiśle-Żoliborz, jaką muszą jeszcze przebyć, na tego z obcej organizacji, który nie przyszedł.

Nie wydawali się ani wielcy, ani wspaniali. Musieli mieć zmartwienia, jak inni ludzie: pieniądze, węgiel, grypa. Maszyna drukarska, ich praca, ich walka – schowane były w kłębku codziennych trosk, ukryte, jak gąsienica barwnego motyla w kokonie.

Uczułem, że w kawiarence na Czerwonego Krzyża utraciłem „swoją legendę” o podziemnej drukarni.

Sadowili się później w dorożce, opierając nogi o zawinięte w papier części maszyny drukarskiej. Za sprawą chudej, zmarzniętej szkapki wsiąkali w ciemność i śnieżyce.

*

Po tym spotkaniu starałem się o firanki, o stół i za Żelazną Bramą kupowałem walizkę o ściśle określonych wymiarach, w której mieli przenosić „Akcje”. Walizka musiała być elegancka, bo „bezpieczniej” – twierdzili.

Spotykałem się potem z Czesławem dość często w lokalu, do którego przynosiłem redakcyjny materiał. Drukarnię spotkało nieszczęście. Ten, który ją zorganizował, pulchny, różowy blondyn o dziwnym pseudonimie na S. przypominającym imię słowiańskie, zapadł na ciężką chorobę nerwową. Przejścia z 39-ego, a może drukarnia? Wymagał długiego, pieczołowitego leczenia. Zastąpił go Marcin⁴.

Marcin, mój przyjaciel, opowiadał mi drukarniane nowiny. W tym czasie drukarnia przenosiła się z Żoliborza z ul. Andrzeja Towiańskiego na Saską Kępę na ul. Łotewską Nr 3.

Na Żoliborzu było wygodnie – cała willa do dyspozycji. Ale ciągły ruch na cichej uliczce, sprowadzanie dwa razy w tygodniu papieru⁵, wnoszenie pak z drukowaną już „Akcją” sprawiło, że lokal dostał się pod obserwację. Urządzenia drukarni powędrowały na przechowanie do składów Braci Chotomskich (Ochota, ul. Kopińska), a Czesław szukał tymczasem nowego locum. O mieszkania było wtedy trudno, ale wkrótce znalazł. Na Saskiej Kępie,

² Czesław Kukła.

³ Nazwiska nie pamiętam.

⁴ Jerzy Marian Kotowski.

⁵ Papier kupowaliśmy u Areta na Nowym Świecie. Papier krajano u Gebethnera i Wolffa na ul. Zgoda. W obu firmach wiadano jakie ma przeznaczenie.

w domu świeżo wykończonym którego właścicielem był volksdeutsch. Czesław twierdził, że to dobry omen.

Kamienica dość duża, ruchliwa, Mieszkanie: tylko pokój z kuchnią. Za mało, jak na potrzeby drukarni. Pokój musiał wyglądać tak, żeby w każdej chwili można było w nim przyjąć „gości”. Zamówił się „na chłanie” sam właściciel volksdeutsch. Tymczasem kaszty nie chciały pomieścić się w kuchni. Do rozwiązania trudnej sytuacji przyczynił się architekt, który projektował dom: zecer Waclaw wraz ze swym warsztatem pracy znalazł schronienie w obszernej ubikacji.

II⁶

Ściany tego volksdeutschowskiego domu były cienkie, akustyka wspaniała. Toteż w lecie, przy zamkniętych, pozasłanianych oknach, wśród wyziewów farby, upał był nie do wytrzymania. W zimie dokuczało zimno.

Praca trwała cały tydzień bez przerwy, ze względu na obce zamówienia, które wtedy przyjmowaliśmy do drukarni⁷ i na zwiększony nakład naszego tygodnika (2500 egzemplarzy).

Ciężką pracą jest dla niewprawnych drukarzy rozbieranie kolumny (Waclaw tylko składał), ale jeszcze ciężiej jest “kręcić” numer. Całą noc w tej samej, pochylonej pozycji. A jeszcze gorzej, gdy któraś z kolumn, misternie powiązanych sznurkami „rozwali się”. Zecera nie ma i drukarze sami muszą składać rozsypane wiersze.

Dużą pomocą była Czesławowi i Marcinowi siostra Czesława, Zofia⁸, wytrwała i cierpliwa. Wtedy to dookoła drukarskiej maszyny rozpałały się i trwały aż do rana dyskusje na temat “co zrobić po Wojnie z Niemcami”.

Reprezentacyjny pokój został powoli umeblowany. Obok łóżka, kulawego stołu i skrzyń, przykrytych serwetą, a naśladowujących komodę, zjawiała się bardzo sfatygowana staruszka-szafa, która pracowicie sklejana i zbijana gwoździami „mieszkańców” lokalu, była schowkiem dla maszyny.

Drukarze przyzwyczaili się do ulicy Łotewskiej. Ale pewnego dnia nastąpiła katastrofa. Czesław wracając z miasta, zastał mieszkanie otwarte. Gdy wszedł, zauważył najpierw niezamkniętą szafę, potem – brak swego futra. Niezasłonięta niczym stała teraz maszyna, leżały wydrukowane pisma oraz pistolety. Złodziej! Zwykły złodziej! Ale co robi teraz? Czy zamelduje Niemcom o odkryciu podziemnej drukarni?

Czesław na Wale Miedzeszyńskim, gdzie był dobry punkt obserwacyjny doczekał się powrotu Marcina. Potem wynajęli wóz i eskortując we dwóch zawieźli rzeczy do składu firmy Wróblewski na Inżynierską (Praga).

⁶ W oryginale fragment ten jest numerowany jako III, co prawdopodobnie stanowi błąd w druku. Z tego też powodu zmieniamy go na „II” dla lepszej czytelności (przyj. red.).

⁷ Papier kupowaliśmy u Arcta na Nowym Świecie. Papier krajano u Gebethnera i Wolffa na ul. Zgoda. W obu firmach wiedziano jakie ma przeznaczenie.

⁸ Zofia Kukła.

– Wiesz – opowiadał mi w kilka dni później Marcin – ten złodziej nie był świnia, nikt do lokalu nie przyszedł. Ale nie był także porządnym złodziejem, bo nie powinien był kraść z drukarni.

Wewnętrzne życie drukarni, jej rytm, poznałem dopiero w upalne lato 41 roku. Znalazła wtedy schronienie w dużych, czerwono-ceglanych blokach na ulicy Rybaki (Nr 12/14).

Dziwny to był dom! Wśród drewnianych parterowych domków, których okna zasłaniały kwitnące jaskrawo pelargonie i glicynie, wydawał się anachronizmem. Patrzał z jednej strony na kościół N. Marii Panny, unoszący się w górę, z drugiej na Wisłę.

Dziwny to był dom! Miał być siedzibą Światowego Związku Polaków Zagranicą. Jeszcze niewykończony, oddany został do użytku 2 sierpnia 1939 r. Duszą budowy był Ryszard Koprowski⁹. Koprowski bronił potem nowoczesnego, wielkiego budynku przed zachłannością Niemców. Jego to zasługa, że dom został oddany Zarządowi Miejskiemu na szkołę, schronisko dla bezdomnych i łaźnię.

Koprowski był administratorem bloków, administracyjnym kierownikiem schroniska i... administracyjnym kierownikiem wydziału prasowego ZSP od chwili, gdy udzielił gościny drukarni. Był małomówny i skromny. Gdy zjawiał się w drukarni, zawsze w czarnym, jak gdyby wizytowym ubraniu, co przy jego kruczych włosach czyniło wrażenie jakiejś powagi, nikt nie miał wrażenia, że ten człowiek, to wulkan energii.

*

W oknie drukarni (na drugim piętrze) wisały „moje” firanki ufarbowane na kanarkowo. Kiedy jedna z nich była nieco odsłonięta, oznaczało to, że wszystko jest w porządku.

Tutaj przekonałem się dopiero, co Czesław potrafił zrobić z maszyną-gratem, którą widziałem po raz pierwszy w kamienicy Baryczków. Uzdrowił ją dziwnymi, sobie tylko wiadomymi sposobami. Jednym z ważnych elementów jej obecnej konstrukcji było... domino. Zwykle, czarne, białe nakrapiane domino, które podpierało teraz żelazne pręty i sztabki.

Adler, młody chłopak, (przez krótki czas pracował w drukarni) wprowadził nowe ulepszenie: patyk przytwierdzony z tej strony, gdzie nakładało się papier. Na patyku narysował dwie kreski. Zadrutowany papier, włożony dokładnie między te kreski, miał zawsze równe marginesy. Przed tym wynalazkiem często były krzywe.

III

Czesław znał swoją maszynę, jak dobry lekarz niedomagania pacjenta. Sam ją zawsze rozbrajał i składał, oliwił, czyścił, pieścił prawie. Gdy Czesława zabrakło, maszyna odmówiła nam posłuszeństwa.

Siostra Czesława, Zofia, pisała historię maszyny. Rejestrowała z dokładnością starego profesora wszystkie przejawy jej życia: choroby, kaprysy, wydajność. Zaczęło się chyba od 200, 300 egzemplarzy na godzinę. Potem było przeciętnie 500, 600, nawet 700.

⁹ Od 32 r. urzędnik Światowego Związku Polaków Zagranicą, następnie sekretarz budowy domu Polonii Zagr. na Rybakach, ob. Lassota, Lewandowski.

– Wiesz, czytałem, że „Robotnika” bili na niej 800 na godzinę – powiedziałem kiedyś do Marcina (cyfrę oczywiście sam wymyśliłem). Zastanowił się.

– Ech, ale kiedy, ile to lat temu: Maszyna była nowa.

Ale „800” nie dawało im spać. Postanowili pobić rekord. Kilkakrotnie osiągnęli poniżej 900, a raz nawet 1000.

*

Zecer Waław, wesoły, złośliwy, znający najnowsze warszawskie „kawały” był ambitnym zecerem. Redakcja żądała na przykład: podtytuły muszą być złożone mniejszymi czcionkami, niż tytuły, życzenia wielkanocne mają być kursywą, a slogan w ramkach. Waław wzruszał ramionami. – Urwał się ten redaktor, czy co u licha?! Wyobraża sobie, że tu pałac prasy? Mniejsze czcionki, kursywa, jakieś ramki. Luluś zza biurka wydziwił.

– No, ale może... jakoś... – próbował łągodzić Czesław.

– I pan jeszcze gada. Przecież wiem, co mam robić - odburkiwał Waław. I po pracy szedł odwiedzać w drukarni NKW przedwojennych kolegów. Rozmawiał oczywiście o polityce, a gdy tamci zajęli się tematem, Waław czynił podejrzane ruchy w kierunku kaszt. Wycho-
dząc miał w kieszeni czcionki do podtytułów, ramki i kursywę.

Taki był Waław. Dodać trzeba, że obok ambicji odznaczał się pracowitością i doskona-
łością w swoim rzemiośle.

*

Wielkie podwórza czerwono-ceglanego domu na Rybakach zawsze były rojne. Dzieciaki wędrowały do szkoły, wracały ze szkoły lub bawiły się w berka. Kobiety, mieszkanki schroniska dla bezdomnych, suszyły bieliznę, hodowały drób i prowadziły długie, głośne rozmowy, używając przy tym słów nie zawsze parlamentarnych. Mężczyźni obgadywali in-
teresy. Tą ostatnią sprawą, na pozór osobistą, interesowała się także policja. Często widzie-
liśmy jej granatowe mundury¹⁰. Często pod nami, nad nami i naokoło nas szalały rewizje. W ich wyniku odkrywano „bimbrownie”, poznawano sprawcę rabunku z włamaniem czy pijackiej awantury, zatrzymano handlarza „twardymi i miękkimi”. Ryszard miał wtedy go-
rący dzień. Jego rola polegała na manewrowaniu, aby policja nie zechciała złożyć wizyty w
drukarni czy w magazynach. Aby nie odkryła kogoś z licznych ludzi „spalonych”, którym
Ryszard dawał mieszkanie w schronisku.

Zawsze jakoś się udawało. Zresztą Ryszard miał pewne tajne umowy z niektórymi człon-
kami policji. Ale raz sytuacja stała się poważna.

Sobota rano. Maszyna odpoczywa w szafie. Czesław pakuje wydrukowany już numery. Za godzinę ma być na punkcie kolportażowym. Umówione stukanie do drzwi. Otwieramy. Jeden z „wtajemniczonych” woźnych Ryszarda. Jest blady i jąka się bardziej, niż zwykle.

– Jesteśmy ob... obstawione – mówi. – Ja... jakaś większa draka.

– No to co? – replikuje Czesław. – Tyle razy była tu policja i nic...

¹⁰ Chodzi o tzw. „granatową policję” (od koloru mundurów), oficjalnie noszącą nazwę Policja Polska Generalnego Gubernatorstwa. Były to komunalne służby porządkowe działające na terenie Generalnego Gu-
bernatorstwa. W ich skład wchodził przede wszystkim Polacy, a finansowanie pochodziło z lokalnych samo-
rządów. Służby podporządkowane były komendantom niemieckiej Ordnungspolizei, pol. Policja Porządkowa
(przyp. red.).

– A... a... ale dzisiaj są z nimi zian... zianarmy zielone. Od Wisły stoją i pod klatkami, że ledwo się przesmykłem, bo tyłem się obróciłem – wyjaśnił.

– A pan kierownik gdzie? – pytamy o Ryszarda.

– W kan... kancelarii z gościami peltraktuje.

Ostrożnie wyglądamy przez okienko w korytarzu. Rzeczywiście. Cała posesja otoczona. Gęsto się kręcą Niemcy i granatowa policja.

Ranek, pogodny letnim słońcem i ukończoną szczęśliwie pracą zamącił się. Nagle poczuliśmy ciężar niebezpieczeństwa, ciężar odpowiedzialności za to, do czego przywykliśmy, jak do sprawy codziennej, pospolitej. Odpowiedzialności za niewinne 1000 obrotów na godzinę, z których się tak cieszyli drukarze.

Rozważaliśmy sytuację. Wyjść nie można. Schronienie u sąsiadów (pod nami i nad nami mieszkali ludzie z Organizacji), to w razie rewizji i odkrycia drukarni śmierć dla wielu ludzi. Więc tylko zostać. Czekać. Nagle Czesław:

– Drukarni uratować nie można. My – może zginiemy. Ale nowy numer... Szkoda.

I pyta woźnego, kto stoi przy głównej bramie od Rybaków.

– Gra... granatowe – odpowiada.

Czesław gorączkowo przedstawia swój plan. Któryś z nas weźmie walizkę i będzie próbował wyjść. Nie od Wisły, nie bokami, bo mogą strzelać, ale oficjalnie, główną bramą, której pilnują „granatowi” (wyjście z naszej klatki schodowej było tuż przy bramie).

Zaczęliśmy się namyślać, potem sprzeczać, kto z nas pójdzie. Nie wiem już, jakimi argumentami przekonałem ich, że to ja powinienem.

– Może to zresztą dobrze. Jesteś ubrany najbardziej „szyk”, a walizka też elegancka. Na takiego mniej będą zwracać uwagę – zdecydował Czesław.

Cicho zeszedłem po schodach. Niemiec stał ciągle tyłem, w pewnym oddaleniu od wyjścia. Parę kroków i byłem w bramie. Zmartwiałem. Wielka, żelazna krata, którą zasuwano na noc, była zamknięta. Poczułem szaleństwo i beznadziejność mojej wyprawy. To trwało ułamek sekundy, bo zaraz, niespodziewane dla siebie samego, usłyszałem swój głos:

– Co to, dlaczego brama zamknięta? – pytałem z głupia frant. I jednym tchem, rezolutnie do „granatowego”:

– Niech mi pan otworzy. Zaspiałem, pociąg mi ucieknie.

– A na jaki dworzec? – spytał bez pośpiechu policjant.

Skłamałem, wymieniłem dworzec i godzinę wyjazdu. Policjant był uprzejmy.

IV

– Bardzo panu współczuję, ale nie mogę otworzyć, brama szczeka – Niemcy usłyszą. Chyba, że przejdzie pan przez kratę – zakończył niespodziewanie.

Nie wiem, czy to rzeczywiście była chęć pomocy, czy żart. Mała odległość między jednym prętem a drugim sprawiała, że trudno było wyobrazić sobie, aby precyzyjnie się tam człowiek.

– Jeżeli tylko głowa się zmieści – pomyślałem. – Dziękuję – usłyszałem jednocześnie swój głos.

Szybko podszedłem do kraty. Przetawiałem najpierw walizkę i popchnąłem ją nogą tak, aby stała za murem domu. Głowa się zmieściła. Przeszedłem. Nie wiem jak to się stało. Kiedy chciałem powtórzyć ten wyczyn w warunkach „pokojowych” o mało nie uwięziłem w kracie i wyostałem się podrapany.

Kilkadziesiąt metrów szedłem szybko i pewnie. Ale jednak wkrótce poczułem, że nogi mi słabną. Usiadłem na betonowym ogrodzeniu i przyglądałem się bezmyślnie Wiśle, piaszczarom, buczącemu statkowi.

W tym samym otępieniu przebyłem drogę na punkt. Tam dopiero ogarnął mnie niepokój o los towarzyszy. Dręczyłem się, czy to, co uważaliśmy w drukarni za czyn co najmniej śmiały – ratowanie nakładu nie było strachem przed bezradnością wobec niebezpieczeństwa, przed biernym oczekiwaniem na śmierć, a może na coś gorszego, niż śmierć? Lepsze wydawało się każde działanie, nawet lekkomyślne, niż bezruch.

Ale w drukarni nic się nie stało. I tym razem wygrał Ryszard. Rewizja ominęła nasze mieszkanie. Przyszedł Czesław. W drukarni z kolei bali się o mnie. Każdy z nich wyrzucał sobie, że to nie on wyszedł z numerem.

Czesław wieszował mi. A ja czułem, że moja „bohatera” przygoda jest śmieszna.

*

Na Rybakach „mieszkaliśmy” długo. Ryszard namawiał, aby się wynieść, choćby na jakiś czas, zbyt dużo bowiem osób zaczęło się domyślać, że na drugim piętrze „coś się dzieje”. Szukaliśmy więc razem z kierownikiem wydziału prasowego, Stefanem Kapuścińskim (ps. Górnicki, Kowalski, Zarski) nowego mieszkania. Kupiliśmy je wreszcie: dwa małe pokoje na drugim piętrze, w oficynie (Sienna 39 m. 28). Cena była wysoka. Targowaliśmy się wskazując brudne ściany, krzywą podłogę. Śmieszyło nas bardzo, gdy sprzedająca podkreślała estetyczne zalety mieszkania: froterowane posadzki i ładny kolor tapety. Nam było to zupełnie obojętne, chodziło o dobre warunki konspiracyjne, które niecałkowicie spełniał lokal na Siennej.

Sprowadziliśmy tu nową maszynę drukarską. Nasza poczciwa staruszka poszła na emeryturę. Nową maszynę nazwaliśmy „gilotyną”, stała bowiem na wysokich, drewnianych krzyżakach, przypominających rusztowanie. Konstrukctorem jej był młody inżynier, Polak urodzony i wychowany w Australii¹¹, który przyjechał w 34 r. jako delegat na światowy zjazd Polaków z zagranicy, nie chciał już kraju opuścić. Chodziłem do niego na Nowy Zjazd 5, gdzie w pokoju, w którym oszklona szafa biblioteczna pełna była barwnych, egzotycznych muszli i koralu, rysował projekt maszyny.

Oprócz nas dwóch interesowała się szkicami drobna, szara pani. Gdy jestem już w tym mieszkaniu, muszę wspomnieć o pani Janinie Poniatowskiej (ps. Sobieska), choć nie była związana z drukarnią. O pani Janinie, dobrej, cierplivej, niezmordowanej, pogodnej, której ręce przyjmowały i rozsyłały grypsy. wiązały paczki dla więźniów obozów i Pawiaka. Pani Janina w sprawach niewoli, głodu, zimna, cierpienia, śmierci nie uznawała podziału

¹¹ Zygmunt Kaczanowski. Maszynę wykonał wspólnie z bratem Ludwikiem, obaj zginęli.

na organizacje, partie, kierunki polityczne. Wiedziała, że krew i łzy mają zawsze i wszędzie jednaką barwę i jednaki smak. Będąc kierowniczką Bratniej Pomocy Więziennej ZSP załatwiała sprawy daleko przekraczające zakres jej obowiązków. W jej mieszkaniu krzyżowały się wyznania i ostrzeżenia pisane na małych skrawkach bibułki, setek ludzi, aresztowanych w różnych sprawach, bohaterów różnych procesów. Pani Janina, sama nieuleczalnie chora, świadoma zbliżającego się końca, umarła¹² wśród pracy, mimo własnej wielkiej męki, zajęta i współczująca cudzemu cierpieniu.

W czasach Siennej nie bardzo dobrze wiodło się drukarni. Czesława nie było¹³, Marcin, dobry pracownik, ale niespokojny i zapalny, lubił zmieniać robotę i przeszedł do „małego sabotażu”, następnie do dywersji. Rena¹⁴, młoda dziewczyna, następczyni Marcina w drukarni, została kolporterką. Nie było także zecera Waclawa. Zamiast niego przyszedł Albin¹⁵, starszy już człowiek, drażliwy i kapryśny, jak primadonna.

Drukarze zmieniali się często. Tym razem długo nie mogliśmy dobrać ludzi, którzy by wytrzymali ciężką, monotonną pracę w drukarni, a jej niebezpieczeństwo uznali za rzecz naturalną, o jakiej się nie myśli. Którzy by pokochali drukarnię i maszynę, jak Czesław. W „kręceniu” nieraz brał teraz udział zespół powielarni, a nawet nasłuchu, nieraz pomagał także sam kierownik wydziału prasowego – Stefan Kapuściński.

Dwukrotnie wyprowadzaliśmy się z Siennej. Raz była to przeprowadzka pod osłoną oddziału bojowego, normalna przeprowadzka drukarni. Drugi raz... A było to tak. Nasza „gilotyna”, choć znacznie wydajniejsza i szybsza od starej maszyny, więcej także czyniła hałasu. W dodatku, za każdym przekręceniem korby podłoga naszego mieszkanka na drugim piętrze drgała, jak pod wpływem dalekiego wybuchu.

V

Mieszkający pod nami krawiec złożył skargę w administracji domu, że „sufit obsypuje się”. Gdy interwencja administratora nie pomogła, krawiec poszedł do komisariatu. – Sprawdźcie, co oni robią na górze, ci moi sąsiedzi? – W obawie przed wizytą policji, przed rewizją, musieliśmy w ciągu paru godzin wywieźć drukarnię. Było za późno, aby prosić o eskortowanie nasze oddziały bojowe. Przedsięwzięcie było ryzykowne: po mieście gęsto chodziły ośmioosobowe patrole. Gdyby nas zatrzymały – byliśmy bezbronni. Część z nas sądziła wtedy, że lepiej jest zostawić jako tako schowane urządzenia drukarni w mieszkaniu, niż jechać w tych warunkach. Stefan Kapuściński był zdania, że kaszty i maszyny trzewa wywieźć za wszelką cenę, jego stanowisko zdecydowało. Sam wsiadł do jednej z dorożek.

¹² W kwietniu 1943 r. – na raka.

¹³ W styczniu 1943 r. wyjechał na prowincję do roboty sabotażowej. Po powrocie do Warszawy został aresztowany i zamordowany na Pawiaku.

¹⁴ Nazwiska nie pamiętam.

¹⁵ Nazwiska nie znam.

Choć wszyscy zdawaliśmy sobie jaśniej niż kiedykolwiek sprawę z niebezpieczeństwa, byliśmy spokojni. Nerwy upominać się mogły o swoje prawa przed i po, ale nigdy podczas działania.

Jeden był wtedy między nami człowiek, który nie zdążył poznać tej zasady. Miał zbyt małe doświadczenie, zbyt małą zaprawę konspiracyjną. Młody chłopak, świeżo przyjęty do drukarni. Zauważyłem przed wyjazdem, że chowa do kieszeni mały rewolwer. Leżał dotąd bezużytecznie w drukarni, gdyż nie mogliśmy dostać naboju do „piątki”. Tkwił w nim nabój jeden, jedyny.

– Po co pan to bierze? – zdziwiłem się (broń zostawiliśmy, bo cóżby pomogły dwa rewolwery w walce z ośmioosobowym patrolem). – Przecież ma tylko jeden nabój.

– W razie czego... Zastrzele się – odpowiedział poważnie.

Żałosne to było, rozczulające i humorystyczne zarazem.

Namawiałem, żeby został. Ale uparł się. I jechał w dorożce wiozącej maszyny z zabawną „piątką” na sercu. Trudno powiedzieć, że był błąd: był zielonkawy.

Dojechaliśmy szczęśliwie. Ale „zielonkawy” chłopiec nie zjawił się u nas więcej. Wyobrażał sobie pewnie, biedak, jak ja w r. 40-ym, że drukarnia jest w podziemiu o grubych murach forticy, że jest strzeżona przez oddział bojowy i baterie maszynowych karabinów. Zobaczył pokój na drugim piętrze zwykłej kamienicy, usłyszał, że sufit sąsiada „obsypuje się”. Może byłby nawet dzielnym drukarzem, ale nie wytrzymał ogniowej próby zetknięcia się z rzeczywistością, z warunkami prawdziwego życia konspiracyjnej drukarni.

*

Jeździłem potem często na Żoliborz Tramwajem do Miodowej. Dalej furka (getto). Chodziłem po uliczkach, obrzeżonych białymi domkami i zielonością ogródków. Szukaliśmy willi. Takiej, w której można by umieścić drukarnię; takiej, którą by można wynająć za cenę przeprowadzenia remontu czy wykończenia budowy. Ale nie udało się. Jeśli była jakaś odpowiednia, to warunki stawiane przez właściciela przekraczały wielokrotnie nasze możliwości płatnicze.

Jeden z chłopców ZSP, Zygmunt Wałukiewicz¹⁶, administrator domu przy Al. Wojska 42 (?) zawiadomił, że z domu tego ma się wyprowadzić pewna kobieta. Chce odprzedać mieszkanie, jednoizbową suterynę. Może tam umieścić drukarnię?

Jeździłem kilkakrotnie do tej kobiety. Zwlekała z wyprowadzką. Tłumaczyłem, że mieszkam z żoną w okropnych warunkach, że dziecko choruje, że... Wreszcie sprzedała „apartament” za wygórowaną wtedy sumę 20 tys.

Jeszcze podczas swoich licznych wizyt zauważyłem, że lokal jest akustyczny. Rozmowy sąsiadek na korytarzu słyszeliśmy bardzo dokładnie. Ale administrator twierdził, że to wi-na cienkich, piwnicznych drzwi. Zjechaliśmy więc na Żoliborz „z meblami”. Drzwi uszczelniliśmy, jak można było najlepiej. Składanie poszło możliwie, choć Albin denerwował się i kaprysił, że dysputy sąsiadek zatruwają mu życie. Okazało się, że to nie drzwi są winne, ale ściany.

¹⁶ Zginął podczas powstania.

Kazik, nowy pracownik drukarni, rozebrał „gilotynę”, naoliwił, przygotował. Wprawilo nas to w podziw. Nikt bowiem dotąd (prócz Maćka Marynowskiego, przyjaciela nasłuchowca Jasia, który wzywany był do drukarni, gdy mieliśmy kłopoty z maszyną) nie umiał sobie z nią dać rady. Tak była zbudowana skomplikowanie i wymyślnie.

Gdy „gilotyna” ruszyła, jasno okazały się niedogodności nowej siedziby. Już po paru godzinach sąsiadki pytały Kazika:

– Cóż u was takie huki? – Kazik zwierzył się wreszcie jednej w wielkiej tajemnicy, że mamy bimbrownię. Pokiwała ze zrozumieniem głową.

– Ale jakie mechanizmy, fiu fiu – rzekła z uznaniem.

O bimbrowni zaczęło być głośno w kamienicy. Tak głośno, jak głośna była nasza „gilotyna”. Gdy byłem w pobliżu domu, słyszałem jak gra, jak pulsuje życie drukarni. Zdawało się, że jestem w okrętowej kabinie, umieszczonej tuż koło maszynowni.

Jasnym było, że nie możemy zostać na Żoliborzu. Wydaliśmy tam, zdaje się, dwa numery. Potem, wśród zainteresowania naszych sympatycznych sąsiadów z kamienicy, odjechaliśmy wozem meblowym. I w sam czas, bo w cztery dni po naszej wyprowadzce przyjechało samochodem kilku żandarmów niemieckich. Z rozpylaczami gotowymi do strzału kazali się prowadzić tam, gdzie jest „bimbrownia”.

Nie zastali jej już, na szczęście.

*

Rzeczy nasze leżały tymczasem w składzie na Rybakach. Z bezrobocia wybawił nas po raz drugi Ryszard, Oświadczył, że „zrobi lokal” w podziemiach. Gdy zaprosił nas „na oględziny”, uczuliśmy, że to nareszcie będzie „prawdziwa drukarnia”. Samo wejście przyprawiło mnie o radosne bicie serca. Piwnica. Przejście przez sale, zastawiona jakimiś deskami, ławkami, w której wąska steczka wzdłuż jednej ze ścian prowadziła do kanału. Nazywaliśmy go potem „rurą”. Kanał trzeba przebyć w pozycji skurczonej. Potem skakać w dół. Potem odnaleźć żelazne schody, zostawiając po lewej stronie szeroko rozgałęzione podziemie. Schody i korytarz, któreś tam drzwi z prawej i... dwa zgrabne, zalane słońcem pokoje, pachnące jeszcze świeżym wapnem. Nowa podłoga, okna w górze wąskie, długie, zakryte matowymi szybami.

Taką drukarnię ofiarował nam Ryszard.

Czuliśmy się tu cudownie bezpieczni. W niewykończonej części domu byliśmy jedynymi mieszkańcami.

Wyjścia z drukarni były trzy: nasze konspiracyjne, przez magazyn, w którym pracownicy bywali zawsze w obecności Ryszarda, i przez okna, za którymi leżało małe, odgrozione od dziedzińca podwórko. Tam przychodzili tylko woźni – członkowie Organizacji. W szopie hodowali świnie i drób i to było świetnym upozorowaniem oddawanych nam często przysług.

VI

Nową drukarnię nazwaliśmy Hadesem. Mieliśmy teraz dobrany zespół. Lili¹⁷ młody, pogodny, równie dobry fachowiec, jak nasz pierwszy zecer Wacław – składał. dalej kręcić korbą maszyny, roznosić dał. Rozrzucała kolumny Pchełka¹⁸. Dlaczego obmyśliła sobie taki pseudonim nikt nie wiedział: była wysoka. Zastanawiałem się nieraz, co skłoniło tę ładną, opaloną na brąz, elegancką kobietę do pracy w drukarni. Może chęć włączenia w monotonne bytowanie podwarszawskiej pani domu barwnego, sensacyjnego przeżycia? Jeżeli nawet tak było, jako zecerka, a później kolporterka – choć spostrzegła wkrótce, że codzienny trud podziemnej drukarni i legenda, w jaką ustroiły ją książki – to dwie zupełnie różne rzeczy – Pchełka była bardzo sumiennym pracownikiem i miłym towarzyszem. Swoje marzenia o przygodach nowoczesnej Maty Hari umiała wpoić w nudne rozrzucanie metalowych wierszy.

Nie miałem wielkiego zaufania do ludzi, którzy pracę konspiracyjną zaczynali dopiero w r. 43. Ale poznawszy parę nowych zecerów zobaczyłem, że uprzedzenia moje nie zawsze są słuszne. Bywały wypadki, gdy ludzie zdolni do bezinteresownego ofiarowania swego czasu i wysiłku, z braku kontaktów błąkali się na peryferiach różnych organizacji. Szczęśliwy traf wydobywał ich i oddawał pracy czynnej, nieraz bardzo odpowiedzialnej. Ci nowi ludzie przynosili entuzjazm, podczas gdy my często uważaliśmy już swoją pracę tylko za obowiązek. Obowiązek przygniata, który nieraz chciało by się zwalić, jak jarzmo z pleców. Obowiązek, który jednak trzeba wypełnić do końca.

Nowi ludzie nie znali jeszcze uczucia pustki, uczucia bezradności i żalu, uczucia bólu, któremu nie wolno się poddać, kiedy męczeńska niewola i śmierć wyrывa najbliższych towarzyszy. Trzeba przejść ponad niewolą i śmiercią, ponad przyjaźnią, której jedynym mizernym dowodem mogą być teraz grypsy i paczki. Trzeba dalej kręcić korbą maszyny, roznosić „Iskrę”, pisać artykuły – bez tamtych.

Nowi ludzie nie znali tego wszystkiego. Dlatego ich patriotyzm, ich zapał walki, ich chęć wyżycia się wreszcie były czyste i beztrudne.

Kazik¹⁹, który przed gestapo musiał uciekać z Pomorza, nie był nowym człowiekiem w konspiracji, choć był nowym w Warszawie. Bardzo inteligentny. O dużym uroku towarzyskim stał się nieoficjalnym, ale właściwym kierownikiem wewnętrznego życia i pracy w Hadesie. Dla dodania sobie powagi mówił, że ma już lat 23, choć naprawdę miał 22 albo 21.

Książę Michał²⁰ (przezwiśko nadane dzięki dużemu podobieństwu do Michała Rumuńskiego tak przykleiło się do tego chłopca, że zaczął go używać jako pseudonim) nie interesował się pracą w drukarni. Marzył o akcjach bojowych. Trudno mu było znieść nocną

¹⁷ Nazwiska nie znam.

¹⁸ Nazwiska nie znam.

¹⁹ Jan Kempka-Rychłowski.

²⁰ Prawdziwe imię Marian, „lewe” nazwisko Berski (prawdziwego nie znam). Pochodził z Grudziądza. Ujęty z bronią w rękę, umieszczony na liście zakładników, rozstrzelany na ulicy Warszawy w listopadzie 43 r.

pracę. Mimo ogarniającej go senności, a może właśnie z powodu niej, Księżę Michał kładł jednak w prace dużo wysiłku, choć nie dawał jej serca. W oddziałach bojowych, dokąd został odkomenderowany z drukarni poczuł się dopiero w swoim żywiole. Na jego miejsce przyszedł Borsuk²¹, krępy, silny chłopak, prawie analfabeta, który doskonale dawał sobie radę z korbą gilotyny. Przywiązał się do Hadesu szczerze.

Hadesem cieszyliśmy się jak dzieci. Zaczęliśmy go urządzać „luksusowo”. Każdy z nas miał własną latarkę, w kanale-rurze Ryszard kazał włączyć żarówkę elektryczną, a przy wyjściu z rury ustawić specjalnie zrobione schodki. Zecernia przenosiła się do drugiego pokoju, tam, gdzie królowała „gilotyna”. Pierwszy został przeznaczony na pokój wypoczynkowy. W nim także był stół, przy którym robiłem korektę i poprawiałem artykuły. Materiał przychodził bowiem do Hadesu w różnym stanie. Bywały artykuły zamawiane u ludzi bardzo zajętych, a mogących wiele powiedzieć o zagadnieniach naszego społecznego i politycznego programu. Te przysyłano w ostatniej chwili, bez przejrzenia ich przez redaktora pisma (ale oczywiście w porozumieniu z nim). Trzeba było paru godzin pracy, aby w takim artykule, zbiorze nieraz bardzo ciekawych i cennych spostrzeżeń myśli i wniosków, zmienić konstrukcje, nadać formę, wygładzić stylistycznie. Jedynie „Sprawa Chłopska”²² przychodziła zawsze „zapięta na ostatnią pętelkę” a w pewnym okresie także „Czyn” (za redakcji Michała²³). W tych ostatnich pociągnięciach redaktorskim ołówkiem przed oddaniem materiału Lili wielką pomocą okazał się Kazik.

Białą ścianę zecerni zdobiły pięknie wykonane²⁴ z papieru, dużych rozmiarów godła: państwowe i syndykalistyczne. Jakże dobrze czuliśmy się w Hadesie, gdy chciało nam się myśleć o wygodzie i estetyce.

W Hadesie twierdzono, że ukradzione rzeczy niemieckie przynoszą szczęście. Drukarze uważali je za pewnego rodzaju maskoty. Na drzwiach zecerni powieszono zawiadomienie: *SS, Polizei und Wehrmacht angehörigen Eintritt verboten* ściągnięte z jakiejś kawiarni przez Lulę²⁵, maszynistkę „Iskry”. Ta sama Lula przedsięwzięła wyprawę do niemieckiego lokalu, aby nam przynieść popielniczkę. Ale rekord pobił Lili, Pewnego dnia wróciwszy z Okęcia przyniósł komplet nakryć stołowych ze swastykami.

– Będziemy mogli urządzić bibkę – powiedział. Z kieszeni wyciągnął jednocześnie półlitrowkę „czystej”.

– Dostaliśmy dziś premię za lojalną współpracę – wyjaśnił. Lili, wzięty przez Niemców do pracy na lotnisku, zręcznie sabotował tę robotę. — Panie kierowniku – dzwonił na Okęcie

²¹ Nazwiska nie znam.

²² Zbigniew Kempka. Od 1-szego do ostatniego numeru redaktor „Sprawy Chłopskiej” oraz redaktor „Dekady”.

²³ Jerzy Szyndler, kierownik komitetu okręgowego ZSP, przez pewien czas kierownik wydz. prasowego i redaktor „Czynu”.

²⁴ Przez Zbigniewa Pokorę (Buteckiego0, studenta architektury; zaginął bez wieści. Po powstaniu był w Mautthausen.

²⁵ Ludwika Hickiewiczówna.

z kancelarii Ryszarda – jestem na bloku N... Zauważyłem, że tu i tu jest coś nawalone (o to „nawalenie” sam Lili postarał się oczywiście wczoraj).

Roboty w drukarni było huk. Wydawaliśmy wtedy „Sprawę” (miesięcznik; oficjalny organ ZSP), „Sprawę Chłopską” (miesięcznik; pismo dla przodowników ruchu chłopskiego), „Czyn” (dwutygodnik dla robotników i inteligencji; na dział robotniczy położono tu specjalny nacisk), „Myśl Młodych” (dwutygodnik; czasokres wychodzenia tego pisma zmieniał się kilkakrotnie). Nie liczę tu wydawnictw na powielaczu, jak „Iskra” – codzienny biuletyn radiowy z dodatkiem niedzielnym, „Dekada” – wychodzący co 10 dni – przegląd prasy konspiracyjnej i przez pewien czas „Oblicze dnia”, ukazujące się dwa razy tygodniowo, zawierające komentarz wydarzeń w kraju i zagranicą. Przez pewien czas robiliśmy w naszej drukarni „Walkę Ludu” – pismo Syndykalistycznej Organizacji „Wolność”.

Pisma ukazywały się teraz regularnie, na punkt kolportażowy przychodziły co do minuty.

VII

Pracownicy drukarni byli nie tylko wykonawcami technicznymi numerów, koniecznymi pośrednikami, aby słowo uwieszone w druku dotarło do społeczeństwa. Pracownicy drukarni – i tak działo się zawsze – byli pierwszymi, wrażliwymi czytelnikami; ich reakcja, ich opinia powtarzała się najczęściej jako reakcja i opinia szerszych rzesz czytelników. Zecerzy i drukarze mieli swoich ulubionych autorów i tych, których nie cierpieli. Jedne artykuły składali i drukowali (choć ta ostatnia praca, mechaniczna przecież, jednakowa była, niezależnie od treści) z przyjemnością, inne niechętnie. Naszego kapryśnego zecera Albina długo nieraz trzeba było namawiać, zanim zgodził się składać artykuł, o którym twierdził, że jest zły. Inni zecerzy także mieli wśród piszących swoje sympatie i antypatie.

Ludzie drukarni mocniej, niż wszyscy inni „podziemni”, dbali o zachowanie tajemnicy, o zakonspirowanie lokalu. Toteż wizyta kogoś niezwiązanego bezpośrednio z drukarnią wywoływała odruch niechęci, czy oburzenia. Do Hadesu przyjechał kiedyś Michał, ówczesny kierownik wydziału prasowego „na inspekcje”, jak twierdzili złośliwie drukarze. Michał, bardzo obowiązkowy, poczuwający się do odpowiedzialności za warunki, w jakich pracuje drukarnia, chciał nowe mieszkanie zobaczyć. Była w tej decyzji i ciekawość osobista, jak to naprawdę wyglądają te podziemia, o których już cuda powiadano. Drukarze, niezadowoleni z pomysłu kierownika, odstawili schodki spod rury. Michał spadł, potłukł się, ale to nie przygasiło jego serdeczności wobec kolegów z Hadesu i entuzjazmu, z jakim snuł projekty. Ustawiając w marzeniach nieistniejący linotyp, wspaniałał maszynę, robił to tak, jak gdyby reżyserował nową sztukę (był z zawodu aktorem). Napisał później ładny reportaż o Hadesie. Drukarze nie poznawali siebie w mgiełce tajemniczości i romantyzmu. Uznali, że taki artykuł dobry jest „dla społeczeństwa”, które czyta gazetki i pojęcia nie ma, w jaki sposób powstają.

Michał pisał o Hadesie, że żyje się tam Polską i tworzy się Polskę. Reportaż kończył się zdaniem: „Byliśmy z wizytą w Polsce”.

To wszystko wydało im się przesadą i nietaktem. Wielkich słów nie używano w drukarni. Polska wyrażała się tu w tysiącach złożonych i rozrzuconych czcionek, w rytmie maszyny, w trosce, czy aby dzisiaj nie zgasną światła. Ale działało to się, jak gdyby bez świadomości pracujących tu ludzi.

Mimo pewnych dysonansów, wywoływanych od czasu do czasu „dekonspiracjami” Hadesu, wierzyliśmy mocno, że nic złego stać się nie może, Hades był najbezpieczniejszym miejscem w Warszawie. Toteż tworzyliśmy tu archiwum organizacyjne (obok dwóch innych, które spłonęły podczas powstania).

Najbliższa ulica Boleść mąciła spokój przesadnym drukarzom. Ulicą Boleść, brudną, wąską, kamienistą chodziliśmy codziennie i codziennie witała nas jej dziwna nazwa na zblakłej, deszczami splukanej tabliczce. Dlaczego Boleść? To zła wróżba – mówili.

Ktoś tłumaczył: – Może dlatego, że tam są jeńcy sowieccy.

Sowieccy jeńcy byli zamknięci w czerwonej fabryczce, podobnej do małej fortecy. W dzień wychodzili na roboty. Gdy przechodziliśmy wieczorem ulicą Boleść, stłoczeni na ciasnym podwórku, pilnowani przez Niemców, obdarci, często bosy, przyciskali do sztachet płaskie, mongolskie twarze. Twarze zwykle tępe, które umiały wyrazić tylko uczucia proste, zawsze w stopniu największego nasilenia: strach, rozpacz, pragnienie (znajdujące jednakowy wyraz, czy to chodziło o chleb, o papierosa, czy o kobietę), ciekawość,

Kazik zręcznie podawał im przez wąskie kraty papierosy. Dziękowali pomrukami, poruszeniem dłoni, a twarze stawały się znowu tępe.

Hadesowi ludzie chcieli zmienić nazwę ulicy Boleść. W nocy chcieli zdjąć wytartą tabliczkę. Ryszard wytłumaczył, że to może zwrócić uwagę. Ulica Boleść pozostała. Nazwa jej, na nieszczęście, okazała się złowróżbna.

Gdy piszę o prasie syndykalistycznej, nie podobna nie wspomnieć o „Iskrze”. Odziedziła mieszkanie na Siennej po drukarni. Panował tam zawsze gwar. Już w przedpokoju słysząc jazgot patefonu (jedna z melodii nazwana była „marszem Iskry”). Józek²⁶ siedział przy toalecie, nazywanej zawsze „redaktorskim biurkiem” i przeglądał materiały dostarczone przez nasłuch. Staś²⁷ obejmował stanowisko przy powielaczu, razem z nasłuchowcem Jasiem²⁸ śpiewali na melodie *Już księżyc zaszedł* ułożoną do spółki piosenkę:

Nad szarą Szprewą goniąc spojrzeniem

Siedzi Adolfek zgorzkniały

I tak się skarży, o luby Franku,

Wszystkie mnie robią kawały.

Odkąd wywiałeś na samolocie

²⁶ Józek Kamiński (ps. Korab, Zahorski, Hryniewicz) – redaktor „Iskry”.

²⁷ Stanisław Wieczorek, zastrzelony w listopadzie 43 r. Był typowym warszawiakiem, godnym pióra Wiecha.

²⁸ Jan Horoch. Nasłucha dla „Isky” robili kolejno: Czesław Stanisławki (aresztowany, obóz), Maria Rozner (aresztowana w lipcu 42 r. i wywieziona do obozu), Wiesława Stawicka (aresztowana; zdaje się zginęła) oraz Józek Kamiński.

Kochany mój Rudolfuniu,
Muszę ja wmawiać mojej hołocie,
że miałaś kuku na muniu.
Idą ochotnie pod moje znaki
Węgrzy, Francuzi wierni;
Kiedy, o Franku, dasz mi Polaków
Z tej Generalnej Guberni?

Najgłośniej wyśpiewywali smutną odpowiedź Franka: *Polaki nie są frajery!*

Nie wiem, czy redaktor „Iskry” Józek znał słynne powiedzenie Beaumarchais²⁹: „Śmiejmy się, bo kto wie, czy świat potrwa jeszcze trzy tygodnie”. Dla nasłuchowca, pracownika powielarni, kolportera, świat mógł się skończyć za tydzień, za godzinę, w ciągu kilku minut. Dlatego pewnie Józek był wyznawcą dewizy francuskiego komediopisarza. Mówił zawsze (w Organizacji głośno było o „balach Iskry”. Zebrania towarzyskie urządzano wspólnie z Hadesem dość często z okazji imienin któregoś z kolegów czy świąt. Była tam wódka, tańce, był śpiew i recytacje, nieraz na wysokim poziomie, gdyż ZSP skupiał sporo zawodowych aktorów), – że „Iskrzarze” mają prawo do rozrywki i śmiechu. To była odtrutka na ciężką pracę, na świadomość ciągłego niebezpieczeństwa.

Sam Józek, żywy, bardzo towarzyski, doskonały narciarz, zamiłowany żeglarz, który wiele morskich wypraw nosił we wspomnieniu (na jego wiślanym jachcie, nazwanym oczywiście „Iskra”, można było po południu spotkać na trasie Bielany-Wilanów cały personel biuletynu. często także Hadesu). Ładnie rysował, pisał, redagował. Ale gdyby nie posiadał tych wszystkich licznych umiejętności wystarczyłaby jedna – piosenki. Te smutne sentymentalne i te wesołe dowcipne, które pozwalały nam zapomnieć o wojnie, które były chwilą odetchnienia dla więźniów Pawiaka (podczas trwającego 8 miesięcy pobytu tam Józka), a później dla żołnierzy stalagu³⁰. Józek śpiewając potrafił stworzyć nastrój i narzucić go słuchaczom.

VIII

Wesołość i śmiech przeplatały się w „Iskrze” z codziennymi i niecodziennymi kłopotami. Ileż ulic, ileż piętér przebiegał nieraz Józek i jego współpracownicy, zanim udało się gdzieś umieścić aparat radiowy i powielacz³¹. Przed wprowadzeniem się na Sienną „Iskra” nie miała stałego lokalu. Bywały wtedy chwile, gdy społeczeństwo, w którym tkwiliśmy przecież mocno, któremu służyliśmy, wydawało się obojętne, nawet wrogie. Czuliśmy się wtedy osamotnieni, jak żołnierze na odciętej placówce.

²⁹ Chodzi o Pierre Beaumarchaisa, francuskiego dramaturga, kompozytora, dyplomatę, szpiega oraz zegarmistrza (przyp. red).

³⁰ W czasie II wojny światowej niemiecki obóz jeniecki dla szeregowców i podoficerów (przyp. red).

³¹ Trudno wymienić wszystkich, którzy nam w tym pomagali. Wymienię tylko dra Bacie, naczelnika gazowni Tylborowskiego(?) i pp. Krystynę i Ryszarda Konarzewskich. Serdecznym opiekunem „Iskry” w lokalu na Siennej był administrator domu, nazywany przez nas „Mikado” (nazwiska nie pamiętam).

Mimo trudności „Iskra” ukazywała się bez przerwy. Nie przestała wychodzić nawet wtedy, gdy po mieście zaczęły krążyć ośmioosobowe patrole, otwierając przechodniom wszystkie paczki, nawet torebki damskie. W kierownictwie Organizacji powiedziano Józkowi, że lepiej na kilka dni zawiesić biuletyn. Józek pewnie myślał tak samo. Ale uparły się kobiety, kolporterki „Iskry”. Zdaje się, że w ciągu tych kilku dni, kiedy w mieście panoszyli się Niemcy i rewizje, „Iskra” była jedynym ukazującym się w Warszawie biuletynem radiowym. To wzmożło jeszcze jej popularność.

Z kolporterek najlepiej pamiętam trzy: Lucynę (Stefania Sawicka), szefa naszego kolportażu; panią Izę (Janina Gzowska), chrestną matkę „Iskry”, matkę dwóch dorosłych córek i babkę czworga wnucząt; czarną Hanę z Hożej (Halina Lachowicz-Ochocka). Dzięki tym kobietom – kolporterkom, najbardziej chyba, w ciągłym przebieganiu ulic, narażonych na więzienie i śmierć pracowników konspiracji, „Iskra” stale i punktualnie informowała, służyła prawdzie.

Zbigniew Butecki zrobił dla Hadesu warszawską syrenę – nowoczesną, wdzięczną kobietę z czubem jasnych loków na głowie. Nie mógł dostać srebrnego papieru, aby wykończyć ogon. Syrena nie przybyła nad Wisłę, ale zamieszkała na Siennej.

Tylko Warszawa – miasto kontrastów – mogła obrać sobie za godło, symbol czy patronkę, uroczą pół-kobietę, pół-rybę i włożyć w jej małą rękę miecz wielki, jak Chrobrowy „szczerbiec”. I tylko „Iskra” – warszawski biuletyn radiowy, mogła przeplatać, nie widząc w tym nic dziwnego, śmierć i beztroską piosenkę.

Ryszard spodziewał się na Rybakach poważniejszej rewizji. Prosił, aby zapakować na razie urządzenia drukarni. Umieścił je w składzie. Chwilowo przerwaliśmy prace.

Ale nieszczęście przyszło z innej strony. Dotąd niejasne są nam przyczyny klęski, która spadła w styczniu 44-go r. 13-go został aresztowany na ulicy Jerzy Gosiewski (z oddziałów bojowych), 14-go Godziembowie (Stanisław Czyżewski i żona jego Janina Aftelówna), 15-go Ryszard. Wraz Ryszardem zabrano ze składu spakowaną drukarnię.

Ryszard, katowany na śledztwie, nie wydał nikogo (jak zresztą wszyscy „styczniowi”). Rozstrzelany został na Pawiaku w lutym 44 roku. W miesiąc później zginęli Godziembowie. Proces Jerzego Gosiewskiego, po wywiezieniu go do obozu w Stutthofie, toczył się zaocznie w Berlinie i zakończył śmiercią Jerzego (Stutthof, 11piec 44 rok)

Myślę, że Ryszard, cichy, odważny bojownik, ojciec sześciorga młodych dzieci, zapomniał o drobiazgach, kłopotach, niesnaskach, w których objawiało się życie drukarni, ukrywała – walka. Myślę, że dana mu była łaska pewności, że ginie za Sprawę.

Drukarnia odbudowała się. Na Gęstej, w pustej sali fabrycznej (właściciel p. Kozłowski), gdzie za dyktą, w maleńkim pokoiku gnieździła się teraz wspólnie z powielarnią i nasłuchem. Pracowała tu do powstania. A choć „hadesowi” i „iskrzarze” potrafili stworzyć z czasem miły, pogodny nastrój (pomocną tu była rodzina pp. Kozłowskich, pod której opieką się znajdowaliśmy, zwłaszcza szesnastoletnia córka gospodarza, Halinka) nie mogłem

się do niej, jak do Hadesu przywiązać. Hades pozostał wspomnieniem najmilszej, choć wytężonej pracy i największej klęski³².

Stoję nad Wisłą, po której płynie wiosenna kra. I nie mogę iść ulica Boleść. Nie mogę sprawdzić, czy stoi jeszcze na Rybakach dziwny, czerwono-ceglany dom. Chociaż tyle jasnych chwil wiąże się z tamtym miejscem, zasłaniają je inne, ciemne męczeńską śmiercią towarzyszy. Dlatego nie mogę iść ulica Boleść.

Tylko Wisła jest taka, jak dawniej. A Warszawa... Warszawa - towarzysz mojej walki?

Mówią, że będzie odbudowana. Ze będzie jeszcze piękniejsza może. Ale nigdy **już nie będzie tamtej Warszawy** .

³² Jednym z najofiarniejszych pracowników drukarni na Gęsiej (a przedtem także „Iskry” na Siennej) był Edmund Szafranski ps. Bohdan. Ciężko ranny podczas powstania zamordowany został przez Niemców w piwnicach szpitala na Drewnianej.

Anarcho-Biblioteka
Dobry pieróg to wywrotowy pieróg



Halszka Bodalska
Drukarnia
1948

mbc.cyfrowemazowsze.pl

Poniższe opowiadanie ukazało się pierwotnie w numer 5-12 tygodnika "Stolica" z 1948 r.

Rok wcześniej zostało nagrodzone przez ową gazetę w konkursie literackim. Tekst autorstwa Halszki Bodalskiej jest o tyle ciekawy, że daje nam ogólny wgląd w pracę warszawskich drukarni Związku Syndykalistów Polskich (ZSP) w czasie II wojny światowej.

pl.anarchistlibraries.net